

SCHODY #3

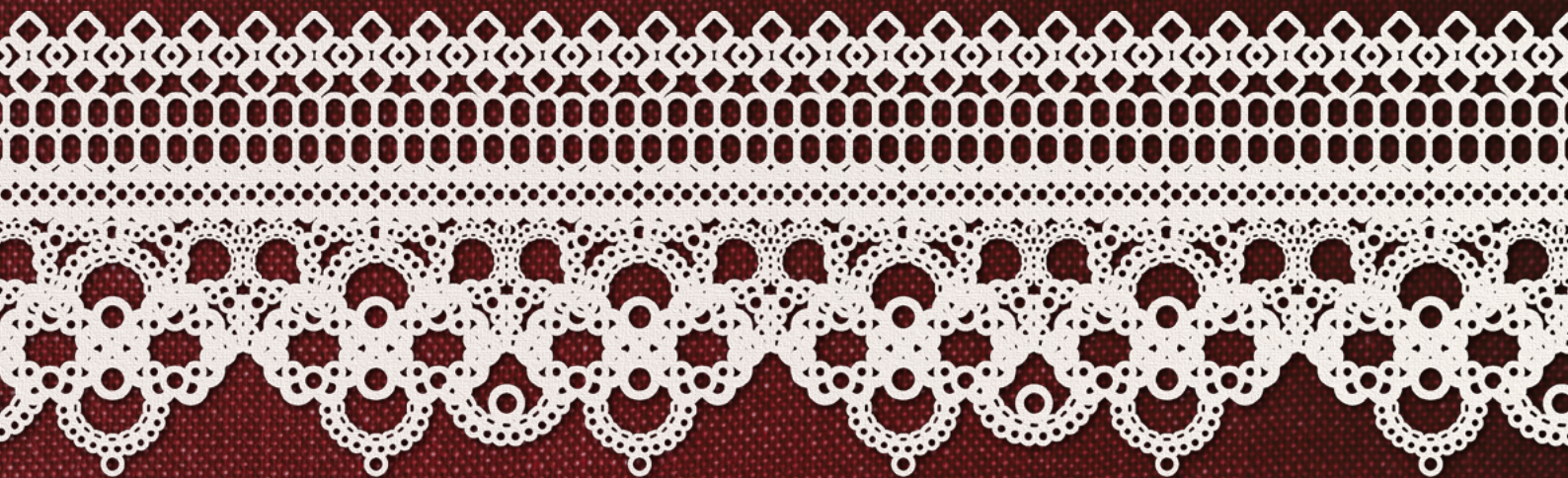


FOLKLOR



Spis treści

>SŁOWO<	3
O co modli się mamcia panny M	4
Bartosz Chmiel	
nić koloru mapo tofu	6
Oliwia Zarzycka	
bolesławiec	7
Oliwia Płochocka	
wyrocznia	8
Oliwia Płochocka	
Nie śni	9
Katarzyna Kuca	
Rozplatanie warkocza	11
Katarzyna Kuca	
Jej ostatnie roztopy	13
Maja (Kroma) Pawlukowicz	
Marzanna	15
Łukasz Szmaja	
Szeptucha	22
Emma Panasiuk	
Wodnik przepowiadający zamążpójście	24
Aleksandra Rajczyk	
Planeta X	31
Kalina Rukat	
>OBRAZ<	33
>DŹWIĘK<	35



» S L O W «

O co modli się mamcia panny M

Bartosz Chmiel

O co modli się mamcia panny M? –
Z czym przychodzi w noc grudniową pod koślawy krzyż?
Latem cztery córę miała – zimą ledwie trzy.

O co modli się mamcia panny M? –
Gdy się świętym sękom zwierza,
Czegóż boją się – pacierza?
Czy też imię Boże straszne głodnej sforze?
Czemuż gardzą strawą łatwą dzikie psy?
Latem cztery córę miała – zimą ledwie trzy.

O co modli się mamcia panny M? –
Za czym to kolanem o pola skostniałe?
Skąd w jej oczach jak paciorki,
Błysk ów jakiś zły?
Latem cztery córę miała – zimą ledwie trzy.

O co modli się mamcia panny M? –
Że ją pieką ręce i drętwieją usta,
Lecz skargi nie kryje kobieciny chusta,
A jedynie nienawiści niestopniałe kry?
Latem cztery córę miała – zimą ledwie trzy.

O co modli się mamcia panny M? –
Jej szept pędzi ślepy i wyprzedza myśl,
Między kłosa bure, aby pomścić córę:
„Niechaj Bóg piorunem zmaże podły czyn
Tego, co ją trafił Amorem i zabił –
Latem cztery córę miałam,
Zimą ledwie trzy!”



Już żegna się: „Amen”, gdy do niej doleci!
Chusta w ogniu staje! Każda kość jej świeci,
Aż mamcia w skorupę zimową upada,
Prośba jej pogańska na czarno z niej dymi,
Szczęśliwi ci, którzy potrafią wybaczać,
Gdy młodzi bywają – o Zgrozo! – młodymi.



Bartosz Chmiel – ur. 2001 w Białej Podlaskiej. Od 2024 r. student filologii polskiej UMCS w Lublinie.
Pasjonuje się opowiadaniem historii za pomocą tekstu, muzyki, jak również rysunku.



nić koloru mapo tofu

Oliwia Zarzycka

banalne, drżące, odległe
wróżbą z ciasteczka przełamane bliskości
wspólnym posiłkiem naczynia dzielone bliżej nas niż my sami
zapachem wieczoru letniego, nocy
wiatrem mieszam się z tobą
cienie drzew szeleszczących, wonie splątane
wiją się babim latem

przypadkiem
spoglądam w czerń nieba lśniącego
milczy coś we mnie, gnije, ściska
przenikamy się, mrowiejemy, a i tak bliżej do wielkiego wybuchu niż
pełni księżyc
a gdyby tak wyzbyć się ludzkiego poznania
stać czymś nader wolnym od mięsa, miłości
jak te dwa kamienie przy rzece, prądem wód obmywane
od setek lat
jakie to byłoby szczęście

Poetka, członkini Polskiego Stowarzyszenia Haiku. Wyróżniona w Polish International Haiku Competition, laureatka Nagrody Poetyckiej im. Ewy Tomaszewskiej za najlepsze haiku opublikowane w roku 2024 w języku Polskim. Współautorka tomiku poetyckiego Tęczowy Żuk i światowej antologii haiku i tanka Tan-ku for Ukraine. Laureatka II miejsca w Konkursie Związku Nauczycielstwa Polskiego i Collegium Civitas na esej dla maturzystów (2022). Publikowała swoje prace w Polsce i za granicą. Miłośniczka ostrego jedzenia, rocka i anime. Związana z naturą.

The background of the page is a textured, off-white surface. Scattered across the page are several dried botanical specimens. In the top right corner, there are thin, dark stems with small clusters of white and yellow flowers. In the bottom left corner, there are more stems with small, yellowish-green flower heads. In the bottom center, there are stems with small, blue-purple flower heads.

bolesławiec

Oliwia Płochocka

jem z bolesławca odkąd pamiętam
granatem do dziś jestem umazana
bolesławie codziennie od narodzin

serce podane na talerzu a obok
granatowe oczy śledzące
czy nie dojadam
jeszcze chwila a wybuchną

od pokoleń bolesławie
bóle sławię od narodzin



wyrocznia

Oliwia Płochocka

babcia wywróżyła mi z kart
że kant stołu przebiję mi serce

kupiłam więc ochronne nakładki
pani w sklepie budowlanym
patrzyła na mnie z dumą
że pewnie jestem odpowiedzialną matką
nieokiełznanego dziecka
może miała w tym trochę racji

karty jednak dalej pokazywały
tę samą przepowiednię
wyrzuciłam więc z domu stary stół
i kupiłam nowy okrągły bez kantów

ta sama pani w sklepie patrzyła na mnie
teraz ze współczuciem; co to za dziecko
że nakładki nie pomagają?

tak, ciągle obijam się o te same kanty
stołów ze wspomnień rodzinnych przyjęć

Pochodzę z Warszawy, wychowałam się po prawej stronie Wisły, głównie wśród blokowisk Targówka i Grochowa. Jestem studentką psychologii, której guilty pleasure jest wiara w magię losu i przeznaczenia. W wolnym czasie dużo marzę i robię kolaże ze starych, niechcianych książek. Swoje wiersze publikowałam w "Składce", "Na wynos", "Kwintesencji".



Nie śni

Katarzyna Kuca

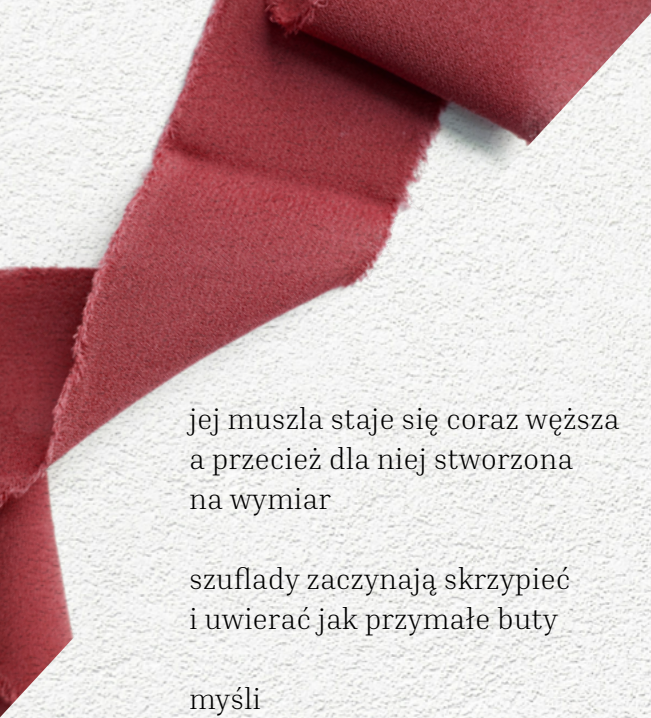
kobieta schowana w swojej muszli
otwiera szuflady z nieufnością

znowu uczy się chodzić
niełatwo przejść od pełzania
do pionu
fantomowe bóle nie pozwalają
na rozglądanie

poci się
a z kropli wije pajęczynę
okrywa nią twarz
nie może przecież być
zbyt ordynarną

w swojej bezsenności
znajduje kolejne szuflady
w każdej z nich
inna suknia
z inną rolą
knebel i kilka męskich włosów

zatrząskuje źrenice
dość przedstawienia
dość przewidzenia
czy na tym właśnie polega
zasypianie

A red fabric strip, possibly a ribbon or part of a garment, is visible in the top-left corner of the page.

jej muszla staje się coraz węższa
a przecież dla niej stworzona
na wymiar

szuflady zaczynają skrzypieć
i uwierać jak przymale buty

myśli
jak miałyby zasnąć
zaciśnięta w gorset
zasznurowana dłońmi
substytutu

Rozplatanie warkocza

Katarzyna Kuca

bogowie namalowali ci ubranie
rozerwali portale
wykopali na świat

wysłali do mnie
jak nosisz łodygi włosów
które oblizują tworząc kołtuny

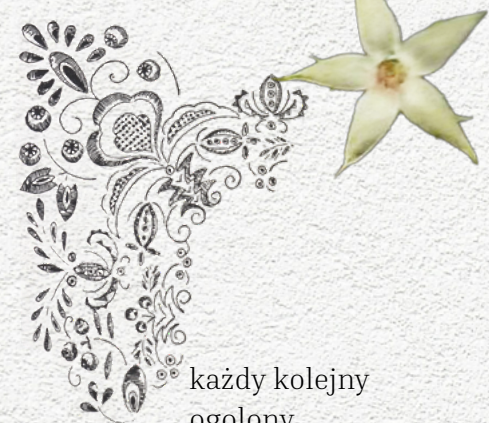
uwielbiam się nimi dusić

na kolana
modlitwy mówią do mnie
ja się nie boję
siniaków
odparzeń od
twojej obecności

opętanie w którym
ocieram się
zdzieram naskórek
sączę keratynę

i tak
odarta z siebie
zbieram cię z prześcieradła
plotę pierścioneł

a przecież jestem już czyjaś



każdy kolejny
ogolony
skruszony
jakkym wykorzystała już
wszelakie zasoby męskiego
owłosienia

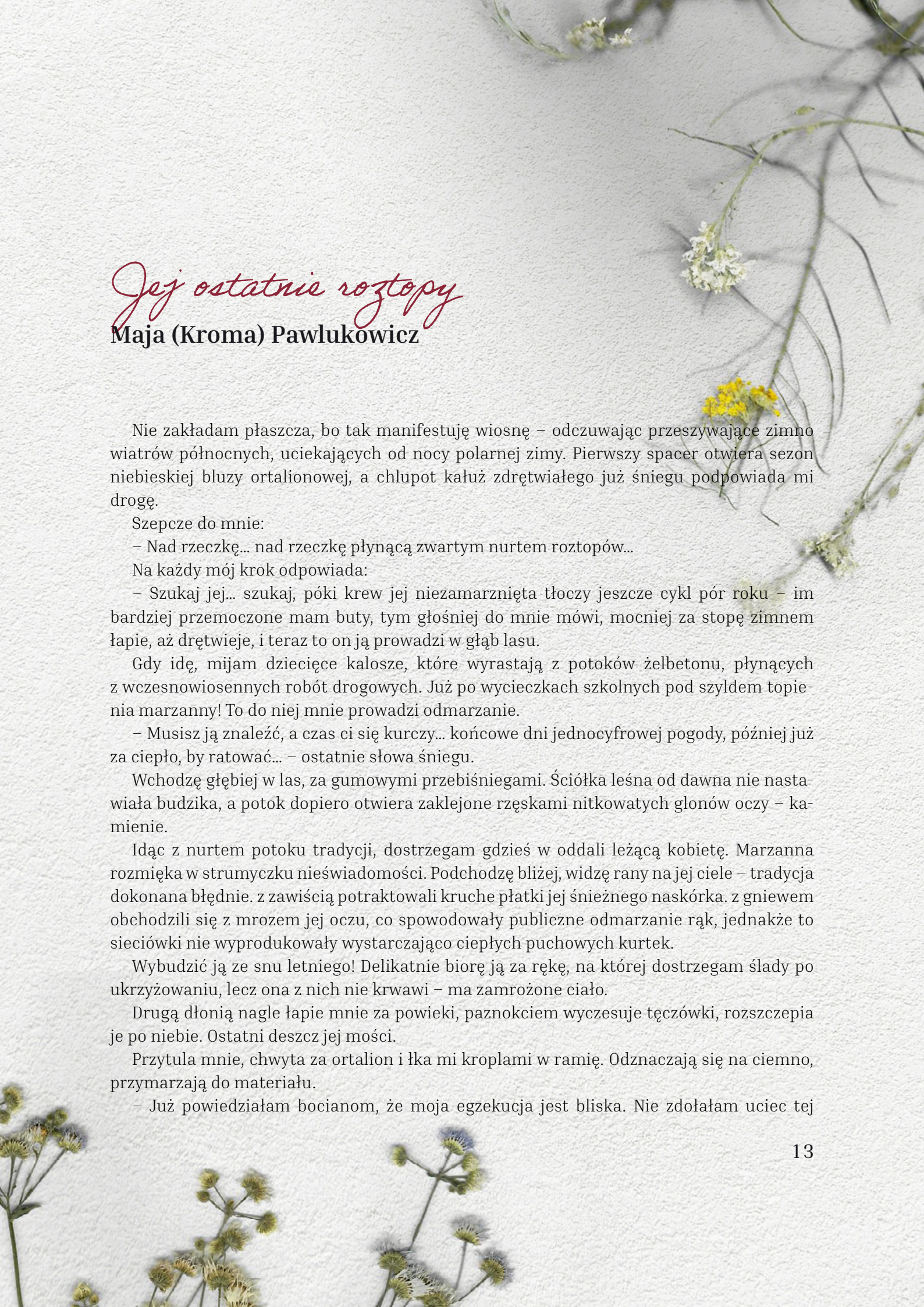


potem ten obraz
herosa
wmawiam szeptuchom
prababkom



tworzę motanki
z resztek które
ustami zbierałam z
podłogi
zwierzę teraz patrzy na mnie
z litością
jak wydłubuję z paznokci
twój smak
jak w kagańcu zaplatam
żadanicę





Jej ostatnie roztopy

Maja (Kroma) Pawlukowicz

Nie zakładam płaszcza, bo tak manifestuję wiosnę – odczuwając przeszywające zimno wiatrów północnych, uciekających od nocy polarnej zimy. Pierwszy spacer otwiera sezon niebieskiej bluzy ortalionowej, a chlupot kałuż zdrętwiałego już śniegu podpowiada mi drogę.

Szepcze do mnie:

– Nad rzeczkę... nad rzeczkę płynącą zwartym nurtem roztopów...

Na każdy mój krok odpowiada:

– Szukaj jej... szukaj, póki krew jej niezamarznięta tłoczy jeszcze cykl pór roku – im bardziej przemoczone mam buty, tym głośniej do mnie mówi, mocniej za stopę zimnem łapie, aż drętwieje, i teraz to on ją prowadzi w głąb lasu.

Gdy idę, mijam dziecięce kalosze, które wyrastają z potoków żelbetonu, płynących z wczesnowiosennych robót drogowych. Już po wycieczkach szkolnych pod szyldem topienia marzanny! To do niej mnie prowadzi odmarzanie.

– Musisz ją znaleźć, a czas ci się kurczy... końcowe dni jednocyfrowej pogody, później już za ciepło, by ratować... – ostatnie słowa śniegu.

Wchodzę głębiej w las, za gumowymi przebieśniami. Ściółka leśna od dawna nie nastawiała budzika, a potok dopiero otwiera zaklejone rzęskami nitkowatych glonów oczy – kamienie.

Idąc z nurtem potoku tradycji, dostrzegam gdzieś w oddali leżącą kobietę. Marzanna rozmięka w strumyczku nieświadomości. Podchodzę bliżej, widzę rany na jej ciele – tradycja dokonana błędnie. z zawiścią potraktowali kruche płatki jej śnieżnego naskórka. z gniewem obchodzili się z mrozem jej oczu, co spowodowały publiczne odmarzanie rąk, jednakże to sieciówki nie wyprodukowały wystarczająco ciepłych puchowych kurtek.

Wybudzić ją ze snu letniego! Delikatnie biorę ją za rękę, na której dostrzegam ślady po ukrzyżowaniu, lecz ona z nich nie krwawi – ma zamrożone ciało.

Drugą dłonią nagle łapie mnie za powieki, paznokciem wyczesuje tęczęwki, rozszczepia je po niebie. Ostatni deszcz jej mości.

Przytula mnie, chwytając za ortalion i łąka mi kroplami w ramię. Odznaczają się na ciemno, przymarzają do materiału.

– Już powiedziałam bocianom, że moja egzekucja jest bliska. Nie zdołałam uciec tej

zimy. Ukrzyżowali mnie, zamiast topić. Ukrzyżowali nad kaloryferami, które osuszają wasze mokradła.

Jej ciało pokrywają pręgi poparzeń od linii wysokiego napięcia; jej słomiane włosy wypływały od ultrafioletu; jej kostki spuchnięte, skrócone jak papiloty.

– Kiedy uciekałam od katów, potknęłam się o głośnik, który grał ćwierkanie ptaków na polu.

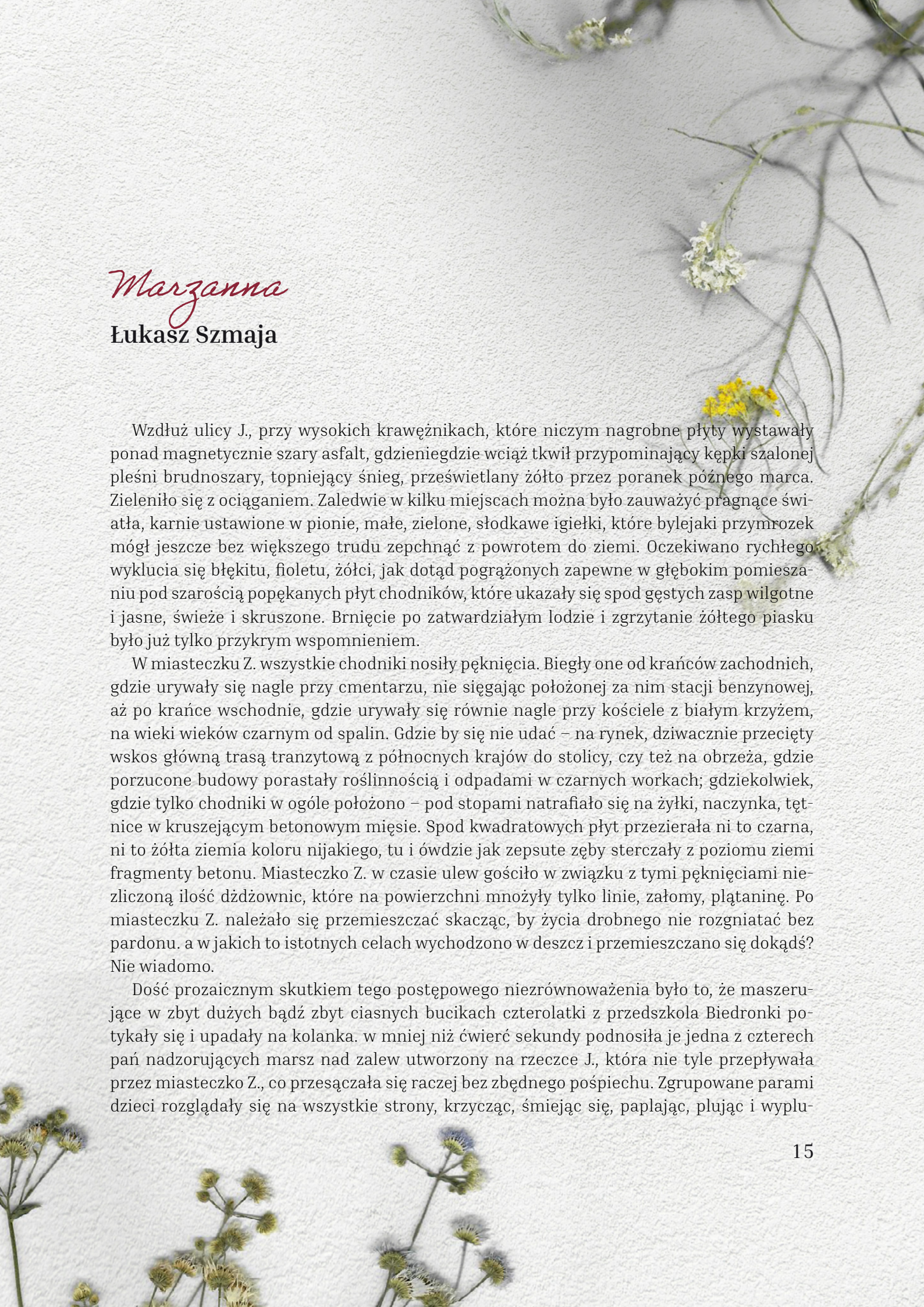
Jej piszczele obdrapane drutami łodyg sztucznych kwiatów. Zaburzają cykl, bo płatki powinny gnić na jesień. Cóż ma się odrodzić, jak nie pęki kwiatów? Jak nie zima i Marzanna?

Patrzę na jej stopioną tradycję i nie rozumiem już. Przecież egzekucja była dokonywana co roku; palili ją i topili, by z jej zgniłych żył na nowo mogły rozpościerać się korzenie. Skoro co zimę trzeba było doprowadzać do dokonywanego przez zamrożone wioski samosądu, to czemu teraz łka mi w ramię deszczem, że umiera.

– Utopiona pływałam po dnie, całowałam nowe korzenie, spalona poprzez popiół nawoziłam wasze ziemie. Lecz ukrzyżowana w powietrzu zawisłam i nie mogłam przeobrazić się w wasz rozkwit. Spoglądałam tylko w dół na rozkopane dobrodziejstwa, przybita do krzyża.

Jej oddech stopił płatki śniegu. Nie zdołałam jej uratować; zmarła.

Ostatnia zima jej mości. Ostatnie roztopy Marzanny. Jaskółka śpiewa z igieł gramofonu – już nie z gałęzi. Śnieg oniemiał.



Marzanna

Łukasz Szmaja

Wzdłuż ulicy J., przy wysokich krawężnikach, które niczym nagrobne płyty wystawały ponad magnetycznie szary asfalt, gdzieś wcięż tkwił przypominający kępki szalonej pleśni brudnoszary, topniejący śnieg, prześwietlany żółto przez poranek późnego marca. Zieleniło się z ociąganiem. Zaledwie w kilku miejscach można było zauważyć pragnące światła, karnie ustawione w pionie, małe, zielone, słodkawe igiełki, które bylejakim przymrozkiem mógł jeszcze bez większego trudu zepchnąć z powrotem do ziemi. Oczekiwano rychłego wyklucia się błękitu, fioletu, żółci, jak dotąd pograżonych zapewne w głębokim pomieszaniu pod szarością popękanych płyt chodników, które ukazały się spod gęstych zasp wilgotne i jasne, świeże i skruszone. Brnięcie po zatwardziałym lodzie i zgrzytanie żółtego piasku było już tylko przykrym wspomnieniem.

W miasteczku Z. wszystkie chodniki nosiły pęknięcia. Biegły one od krańców zachodnich, gdzie urywały się nagle przy cmentarzu, nie sięgając położonej za nim stacji benzynowej, aż po krańce wschodnie, gdzie urywały się równie nagle przy kościele z białym krzyżem, na wieki wieków czarnym od spalin. Gdzie by się nie udać – na rynek, dziwacznie przecięty wskos główną trasą tranzytową z północnych krajów do stolicy, czy też na obrzeża, gdzie porzucone budowy porastały roślinnością i odpadami w czarnych workach; gdziekolwiek, gdzie tylko chodniki w ogóle położono – pod stopami natrafiło się na żyłki, naczynka, tętnice w kruszącym betonowym mięsie. Spod kwadratowych płyt przeziarała ni to czarna, ni to żółta ziemia koloru nijakiego, tu i ówdzie jak zepsute zęby sterczały z poziomu ziemi fragmenty betonu. Miasteczko Z. w czasie ulew gościło w związku z tymi pęknięciami niezliczoną ilość dżdżownic, które na powierzchni mnożyły tylko linie, załomy, płataninę. Po miasteczku Z. należało się przemieszczać skacząc, by życia drobnego nie rozgniatać bez pardonu. a w jakich to istotnych celach wychodzono w deszcz i przemieszczano się dokąds? Nie wiadomo.

Dość prozaicznym skutkiem tego postępowego niezrównoważenia było to, że maszerujące w zbyt dużych bądź zbyt ciasnych bucikach czterolatki z przedszkola Biedronki potykały się i upadały na kolanka. w mniej niż ćwierć sekundy podnosiła je jedna z czterech pań nadzorujących marsz nad zalew utworzony na rzeczce J., która nie tyle przepływała przez miasteczko Z., co przesączała się raczej bez zbędnego pośpiechu. Zgrupowane parami dzieci rozglądały się na wszystkie strony, krzycząc, śmiejąc się, paplając, plując i wyplu-

wając, co dodatkowo zwiększało tylko częstotliwość prozaicznych skutków miasteczkowej nierówności.

– Patrz pod nogi! – Panine słowa strzelały w powietrzu jak przekłuty krawiecką szpilką kolorowy, urodzinowy balonik.

– Uważaj, jak idziesz! – Panina komenda przeszywała słomiane, wiosenne powietrze jak spanikowana jaskółka.

I na nic były. i nic nie dawały. w podejrzenie czystym światłem poranka brzmiały jak kolejny ptasi szczebiot.

Świąteczna przepustka na wyjście z budynku przedszkola stanowiła nie lada atrakcję. Spacer ekscytował, ponieważ burzył rutynę dni, powtarzalnych zabaw w sprzedawanie i kupowanie. Przymus snu na leżakach od godziny x:30 do godziny y:30 uczył z kolei niezbędnej w tym procesie ekonomicznym dyscypliny. Koniecznego zaś szacunku dla darów Nieba uczyło spożywanie zupy w dwóch niezmiennie naprzemiennych wariantach: mlecznej bądź owocowej. Nawiasem mówiąc – podobno wśród biedronek obserwuje się przypadki kanibalizmu, zarówno wobec jaj, jak i larw. Dziewczynki z dziewczynkami i chłopcy z chłopcami, na końcu zaś samotna osoba z panią za rękę – co mogło być wyróżnieniem bądź hańbą.

Panie jak jeden mąż miały nasunięte na głowy granatowe bereciki, a ciałami wypchały sięgające kolan beżowe płaszczyki. Odczuwały jeszcze chłód, osłaniały więc szyje kolorowymi szaliczkami, ale na ich czoła już wstępował pot. Słowem – kisiły się w wiośnie. Kisiły się też dzieci w rękawiczkach zaledwie z kciukiem oraz naciągniętych na czoła, uniemożliwiających widzenie czapkach, i kurtkach, w których wydawały się tonąć. Niektórzy chłopcy specjalnie potykali się i ostentacyjnie demonstrowali niemożność samodzielnego podniesienia się z chodnika, tylko po to, żeby któraś z pań ich złajała. Im częściej byli łajani, tym bardziej potrafili doceniać nie tak częstą troskę. Okazywały ją zwłaszcza młodsze panie, które pojawiły się w przedszkolu niedawno.

Czereda dzieci przechodziła obok niekończących się płotków, nie wiadomo, po co okalających teren przy niskich bloczkach. z mokrych desek zlaźła zielona farba, ale ponieważ wilgoć zieleniła drewno, właściwie nie trzeba było znowu ich malować. Srebrne grzyby dodawały temu melanżowi natury i kultury niezbędnego półszlachetnego kolorytu. Pąki, niby małe zielono-białe jęczyczki, wysuwały się z twardych i czarnych gałęzi śliwek. Sprawdzały, czy powietrze jest już wystarczająco ciepłe. Niestety, jeszcze zimno, wiatr nagle smaga czerwone policzki, w oczy zaszczypie, od ziemi ciągnie, spomiędzy pęknięć – wieczna chciwość.

– Idziemy!

Po drugiej stronie ulicy, z ciemnej jamy między martwym żywopłotem a brudnobiałą ścianą bloku numer 14, spod parterowego balkonu, obok zalepionego pajęczynami i zaślepionego brudem okna do piwnicy, wypęła nagle piesek. Od razu przykuwa uwagę wszystkich dzieci. Plotka roznosi się prawie jak feromon. Piesek jest doskonale widoczny, stoi pośrodku ogrodu, który dopiero za miesiąc stanie się pełnym warzyw, może owoców, rajem na miarę czasów.

– Piesek! Piesek! Hau! Hau! – Dzieci pokazują rękami w rękawiczkach.

Stworzenie znienacka przeskakuje przez murszejący płotek, oddzielający ogródek od (popękanego) chodnika, i siada na krawężniku nad ulicą. Wpatruje się bez ruchu w wycieczkę. Prawe oko ma białe, białe jak środek lata, jak biały skwar, który wchodzi do wnętrza śliwki; białe jak robak, przegryziony w połowie i wypłuty na spalony upał, uklepany stopami piach boiska.

– Piesek! Piesek!

Zwierzę wyszczerza nieśmiało poźółkły kiel. Sina warga drży jak powieka człowieka dotkniętego napadem epilepsji. Bestyjka stroszy kark, choć sierść ma już tak zmierzwioną, jak gdyby czołgała się na światło z bardzo daleka i głęboka. Wtem całe pieskowate ciało drży gęściej. Ogon trzyma skulony między tylnymi łapami. w osiedlowe odgłosy – głuche trzepanie dywanu, zakręcanie, pisk opon, przekręcanie, tłuczenie szkła, śmiech przechodzący w kaszel – wdaje się, jak gangrena, coraz głośniejsze warczenie.

– Idziemy! Idziemy! Szybcutko! – Panie próbują opasać grupę dzieci szeroko wyciągniętymi ramionami i szerszymi krokami. Niby na burtach okrętu, który wpływa na niebezpieczne wody, przechylają się groźnie poza linię krawężnika, nad śnieżnym klifem ulicy, w którym, zamiast listków przebiśniegów, tkwią na zawsze fragmenty zgniłozielonego szkła.

Warczenie, zrazu cichutkie, nędzne, ogromnie nagle, jakby zagrzewane świstem wiatru spomiędzy łopat i szpadli opartych o podłogę tarasu, spod taczki żartej rdzą; z nicości płataniny zeschłej winorośli, przechodzi w znerwicowane szczeknięcia i wycie. Wkrada się między kurteczki, spocone i swędzące, i spływa zimną kroplą po kręgosłupie. Spojrzenie złe do białości i do białości smutne, zębami uchwyciło już uwagę i nie puszcza. Szczękościsk; odwracają się dzieci, bo piesek za nimi już po rzece czarnego asfaltu biegnie i wrzeszczy i nie tonie.

– Piesek! Piesek!

Panie odwracają głowy i patrzą na zwierzę z góry. Zasłaniają ciałami i otaczają, szaliki rozwiązują się, chłód natrętnie oblizuje szyje, ślizga się po naszyjnikach, jedna do drugiej szepce głośno, druga do trzeciej cicho krzyczy, tak, jak gdyby nie chciały, żeby same siebie słyszały.

– HA-U! HA-U! – z psa, jak z pustej formy glinianej, wionie przeciągle echo ogromne, złowrogie i zimne, co zaprzecza jego niewielkim rozmiarom. Dzieci mijają, w rosnącej trwodze, musztardowe szczyty ostatnich bloków osiedla i sześcian sklepu spożywczego. Zeskakują w bród, przeprawę, na przejście dla pieszych. Krawężnik sięga kolanek. z kraty odpływu, jak z głodnego brzucha, dobywa się granie marszu i charkot. Przy kratce gnuśna czern siedzi – to jesień zgubiona i pomarańcz filtrów przepalanej zimy. Blisterek po tabletkach błyszczą jak kwiat wiosenny – ale bez płatków, pręcików i pszczołek. Połamane skrzynki po owocach, które leżą obok sklepu, mają kolor słomiany, dzieci brną przez zatarte pasy przejścia, po białych, jak gdyby nakrapianych szarą pleśnią, prostokątach.

– Dzień dobry!

- 
- 
- 
- Dzień dobry!
 - HA-U! HA-U!
 - a dokąd tak lichy goni?
 - Panie Janku! Panie Janku!

Wspinają się na krawężnik z drugiej strony. Ciągają za rękawy, za kołnierze, łokcie. Stary pan Jan kuleje, grymasi coś, wysypują się z niego chrząknięcia i smarknięcia. Zatrzymał pochód. Przeciska się na tyły, odstawił coś, zrzucił coś z ramienia jak krzyż:

- Pani – Ergh! – Pottrzyma!

Pies zauważa, że nadchodzi w szarej watowanej kurtce postać wielka i silna. Szczekanie wywija już kundla prawie na lewą stronę; ma rytm, ma puls, jak zakłęty elektryczny prąd się rozpościera. Spomiędzy chmur szorstki promień Słońca pada na scenę, a wietrzysko przedmuchuje śmieci przy krawężniku.

- Panie Janie! Panie Janie!

Wychodzi spomiędzy dzieci ostatnich i naprzeciw bestii wyciąga dłoń grubą, oznajmiając jak herold, tubalnie i czysto:

- a POSZEDŁ TY! WON!

I stopą w buciorkach uderza, wali w pęknięte płyty chodnika, a bestią szarpią konwulsje, które nie mają żadnej wyraźnej przyczyny. i pochyla się Pan Jan, skrzypi kręgosłup, trzeszczy waciak w pachwinach. Podnosi popękanego chodnika kawał, nabity zgasłymi różowymi kamieniami nieszlachetnymi, i rzuca pod pazury, w ten szczekot; przebija ten rytm złowieszczy. Odwraca się piesek jak mechaniczna zabawka i ucieka bezgłośnie za ciemny róg sklepu, rozrzuca skrzynki z napisem „ORANGE”.

Bestia znika. Ciepło rozlewa się w żyłach, głębokie oddechy.

- Panie Janie! Dziękujemy! Kochany pan Jan!

Pan Jan rzuca dobronudnie surowe spojrzenie na głowy dzieci; z twarzy jak ze ścierki wyzima uśmiech czuły. Dzieci milczą i patrzą, jak zza łysiny wynurza się Wielkie Słońce. Wszystkie dzwony biją, choć nie jest niedziela. Jest rano. Mężczyzna bez słowa wraca na przód, tam hen na przód daleko. Tam, gdzie została pani, która utrzymuje na ramieniu ciężki krzyż, a za rękę trzyma najtchórzliwszego.

– Pani da. – Ergh! Dziękuję. – Odebrał od niej coś większego niż on sam i zarzucił na ramię, jak Jezus swój krzyż.

- Idziemy! Idziemy!

Po czarnym żwirze. Żwirowa mleczna droga, która kończy się w zamglonej oddali, gdzie drą się klaksonami auta. Końskie kopyta uderzają w czarne kamyczki, stęka wóz spłowiwały jak drewno. Na wozie górką węgla smolista. Oczy dwóch chłopów jak cztery ziarna żwiru. To ulica G.-ska, co prowadzi między drewnianymi chatami z niebieskim papierem w oknach; nie ma chodnika po żadnej z jej stron. Spadziste dachy oklejone są papą przybitą gwoździami do drewna. w zagłębieniach drogi, wyłobionych przez deszczowe dekady, jak galaktyki w pustym wszechświecie wygasłych gwiazd ukrywają się ostatnie liszaje śniegu.

Dzieci przepędzane są po żwirze do wąskiego przejścia między ogrodzeniami. z prawej stoi dom pusty, który, jak wielki piec hutniczy z płataniną rurek i kabli, oczekuje, aż ktoś ten żwir z drogi wsypie do jego drzwi. Okna dawno wygasły. Zardzewiał. Po ogrodzeniu pną się suche badyle, szkielety winorośli wiszą na żelaznych prętach; bladożółte, papierowe kwitki miechunki nieczytelne czekają w wyschniętej trawie obok zerwanych etykiet z wypaloną światłem farbą.

Po lewej biegnie ogrodzenie tylnego podwórza miejskiej biblioteki. Ogrodu bez ogrodnika, dzikiego miejsca, gdzie się nie przychodzi. Dzieci przepędzane są dróżką wydeptaną, bezpieczną za dnia. Nieświadomie zapamiętują jednak wódki i puszki, paczki i opakowania – nieumarłą florę. Wychodzą na przestrzeń, szeroką i cichą jak niebo, jednolitą – dotarli do zalewu. z oddali słysząc, jak na niewielkiej tamie piętrzy się ciecz i zamienia się w hałas.

Zimą rzeczka traci brzegi. Widać tylko betonowe płyty, na których jak dziury w zębach leżą czarne grzybnie. Zatrzymują się na mostku, woda szumi jak szalona, wypada z gardzieli zalewu w jezor rzeczny, gęsty i oleisty. Nie ma nikogo. Kropelki potu kapią z czołek na popękany beton tamy i do wód udają się gruntowych i kradnie je rzeka, zabiera, niesie jak haracz, daninę, dar dla większej pani, dla carycy, królowej, dla władczyni surowej, co może ją kiedyś, drogie dzieci, zobaczycie, jak dorośnięcie – albo jak was do niej zabiorą rodzice.

– Stańcie! Jesteśmy! Jesteśmy!

Głosy ulgi, dotarliśmy na miejsce rozstrzygnięcia. Dzieci nie są ciekawe. Stoją na mostku jak wryte i każde z nich patrzy nigdzie, rozglądają się nigdzie, czują, jak rzeka wyciąga z nich beztroski brak poczucia czasu, czują utratę, która wzbiera wraz z hałasem. Przy tamie gromadzi się cicho kra. Wielkie kawały skradają się do małego wodospadu, przy którym wyczerpuje się ogrom zalewu, przy którym stęża się głębia i zamienia w pianę. Hipnotyzuje ciemne wielkie lustro, w którego brudnym odbiciu jest wiosenne niebo. Tłucze się szkło i przelewa i znika po drugiej stronie tamy w wężyku wąskim, który nie mieści przecież nawet ćwierci tej wielkiej wody.

Pan Jan szuka czegoś, uderza się po kieszeniach džinsowych spodni, znaleźć nie może, bije się po udach, kręci, bije się po piersiach, rozgląda, mamrocze, gulgocze.

– Dzieci! – Oczy pani robią się wielkie. Rzęsy dotykają brwi, uśmiech czerwony wycięty z szarego papieru twarzy, nozdrza wciągają powietrze lekkie. – Dzieci! Dzisiaj tutaj utopimy marzannę, którą wczoraj razem zrobiliśmy!

Z pamięci dziecięcej wysypują się błyski igieł, ciachnięcia nożyczkami, szelesty słomy, trzask pękającego sznurka, rwanie materii. Dwa guziki czarne jak żwir. Światło wpadające przez zakurzone szyby oblepia kolorowe wstążki szorującej o skórę bibuły. Materiał chustki na głowę przypomina ścierkę z kuchni, warkocze – zaplecione z pustych łodyg, pozbieranych razem: lewa, prawa, lewa, prawa; na koniec czerwona wstążka, supeł mocny, kokarda. Uśmiech z błyszczącego czerwonego papieru. Uśmiech, żeby jej tak nie bolało, a może żeby została zaskoczona? Drewniana deseczka, młotek, prostopadłe deska druga, na krzyż, uderzenia, metaliczny smak gwoździ, wyjmij to z buzi! Suknia teraz nie powiewa. Leży na



brzuchu, twarzą do ziemi, nieruchoma.

– Dzieci! – Oczy pani robią się ogromne, rzęsy dotykają grzywki, uśmiech sięga uszu, twarz się rozdziela, na nozdrzach pełgają nicianie drobnej czerwieni. – Dzieci! Pamiętacie, czego się uczyliśmy? Co mówimy, kiedy topimy marzannę?

– Mazianno, Mazianno... – jedno z dzieci nieśmiało, trzymając kciuk rękawiczki w buzi, zasepleniło imię.

– Dobrze! – w oczach pani zniknęły tęczy, szczeka opadła bezwiednie aż do grdyki, nozdrza zapadły się do środka czaszki. – Dobrze! Ty zimowa panno! Tak!

– Ty zimowa panno! Dziś cię utopimy! – Przyspiewka niesła się między czapeczkami i szaliczkami, wnikała w tkaniny, zawiesina gęstniała w skisłym, rozgrzanym powietrzu na granicy skroplenia – ...bo nie cemy zimy!!

– Marzanno, Marzanno, ty zimowa panno, dziś cię utopimy, bo nie chcemy zimy! – jednocześnie z nagłą powtórzyły, równo co do sylaby, wszystkie dzieci i... zamilkły, jak gdyby zaskoczone tą symultanicznością.

Jedna z pań rzuciła szybkie spojrzenie na Pana Jana, który podniósł kukłę. Drzazgi sterowały z nieheblowanych desek niczym ochronne kolce, co wydawało się nie przeszkadzać mężczyźnie. Marzanna uśmiechała się, beznosa, omiatając czarnym, żwirowym spojrzeniem niebo, ziemię i gromadkę stojących. Wydawała się tak ciężka, jak gdyby wewnątrz słomy, z której wykonane było jej spętane w pasie i wokół szyi ciało, wypełniała prawdziwa krew, a krzyż, który stanowił jej kręgosłup, był nie sklejką zbitą gwoździami, lecz zespanymi metalowymi prętami. Panie rozglądały się niespokojnie. Za odległym mostem, w oddali, w powietrze wzbilo się kilkanaście spłoszonych wron, a ich krakanie wypełniło przestrzeń. Kilkoro dzieci odnotowało w duchu, że nie słyszy huku spadającej obok wody. Rozglądały się tylko jak ogłuszone.

Pan Jan ze stęknieniem przerzucił kukłę z ramienia na metalową balustradę. Kciukiem trzykrotnie uderzył w kamień zapalniczki. Ogień wydostał się z wnętrza plastiku i Pan Jan zbliżył go do bibuły, która momentalnie zajęła się w całości – światło ognia, tak odmienne od światła słonecznego, przemknęło szybko po stojących w półkolu obecnych.

Uśmiechniętą kukłę trzymał, dopóki nie zaczął palić się jej słomiany korpus. Wtedy z impetem, ale i z dziwną, niewłaściwą jego gabarytom gracją, wyrzucił ją tak, by opadła na plecy w sam środek efemerycznego nurtu rzeczki, która chociaż lustro miała po tej stronie tamy spokojne, to tuż pod nim drobny piasek przetaczały siły znaczniejsze, niż mogło się to wydawać. Płonąca kukła nienaturalnie szybko spływała w dół smolistej rzeczki, ku odległemu mostowi, obserwowana przez dzieci w nabożnym milczeniu tak długo, aż ogień nie zgasł w wodzie, a kształt marzanny nie stopił się na tyle z lustrem rzeki, że nie sposób już było odróżnić go od chmury odbijającej się w tafli.

– Marzanno, Marzanno, ty zimowa panno, dziś cię utopimy, bo nie chcemy zimy! – zakrzyknęły chóralnie dzieci, symultanicznie, prawie wesoło, ku zdziwieniu pań. Popatrzywszy po sobie nawzajem, zaczęły rozcierać ramiona tych podopiecznych, którym panujący

nad zalewem chłód wyraźnie odejmował animuszu.

– Ha! Ha! Ergh! Ekhem! – Wybuchł przerywanym śmiechem Pan Jan. – a to ci dopiero! Ha! Ha! – Charczał i kaszłał.

– Wracamy! – Krzyknęła jedna z pań ponad głowami dzieci. Spojrzawszy na stojący nieopodal pomnik z białym orłem, otoczony wiecznie zielonymi, lecz teraz fioletowo zmarzniętymi tujami i połamanymi ławkami, zaczęła ustawiać dzieci w rząd i odliczać. Dotykała kolejnych główek: dwa, cztery, sześć, osiem...

Szmaja, 2026 r.



Szeptucha

Emma Panasiuk

Stała na granicy aktualnego i przemijającego, znanego i zapomnianego. Dla pokolenia mojej matki była postacią osobliwą, lecz obecną ciałem; w umysłach moich dzieci i ich kolegów urosła do rangi nieuchwytniej legendy: stara i zgarbiona – młoda i piękna – z kurczakami i zakrzywionym nosem – w brudnych łachmanach – rozmawiająca z Bogiem.

Ceniła się. Za jedną wizytę brała dwieście złotych; dwieście pięćdziesiąt, jeśli sprawa była szczególnie trudna. Do spraw prostych należały: czy miłość jest odwzajemniona, kim będziesz w przyszłości, czemu chorujesz i jest ci źle. Do spraw trudnych należały: kiedy i na co dokładnie umrzesz, uleczenie zwierząt i rzucanie klątwy na sąsiada. Dużo dziewczyn chciało wiedzieć, czy trafi na dobrą partię, zwłaszcza – czy mąż nie będzie pił. z bolesnymi miesiączkami też często przychodzili. To były sprawy proste, za dwieście złotych.

Słyszałam o niej w dzieciństwie od babki. Potem wyjechałam, a to, co znane, zostało za plecami. Wcześniej obecna na peryferiach świadomości, zniknęła z myśli z błyskawiczną łatwością. Teraz jednak miałam problem – moje własne dziecko cierpiało, a wszelkie inne rozwiązania się wyczerpały. Wróciła więc.

To było może miesiąc temu, gdy Lila zwijała się z bólu na białych łazienkowych kafelkach. Szósty raz z rzędu nie dostała okresu, a nieznajdujące ujścia, niebędące płodem fale krwi przetaczały się przez jej organizm w postaci czystego bólu. Każdy kolejny raz był coraz gorszy; wtedy, słysząc odgłosy jej suchych, dławiących wymiotów, bałam się, że to już to. Myśl o pójściu do starej pojawiła się nagle, odklejona, absurdałna. Ale przyjęła się na żywym gruncie otumanionego strachem umysłu i wykielkowała.

Codziennie jeździłam z przedmieść, gdzie mieszkaliśmy, do samego centrum. Codziennie myślałam też o moim dziecku. Niemał wszystkie koleżanki w pracy były miastowe; gdy opowiadałam im o problemach Lili, współczuły, doradzały, polecały ginekologów. Mój pomysł nie znalazł zrozumienia. Nieważne, jakiego słowa użyłam, wykrzywiały twarz w niesmaku. Zbyt szeleszcząca „szeptucha”, zbyt ordynarna „baba”. w gruncie rzeczy nie sądziły, że ktoś taki ma w ogóle rację bytu. Wszystkie były w swoich poglądach dość podobne – wierzyły w to, co widziały. Kochały sztukę sakralną i kościoły barokowe, ale to by było na tyle. w odróżnieniu od swoich matek i babek, znały własne jutro; ignorancja stała się luksusem, na który nie mogły sobie pozwolić. Broń Boże nie przeoczyć jakiegś fundamentalnej niesprawiedliwości życiowej, nie dopuścić do siebie okrucieństw świata, nie opuścić gardy! Wiara w dobroć i ist-



nienie odgórnego planu były passé; zamiast modlić się o rzeczy, lepiej było je przewidywać. Zerwały z tradycją, rutyną, wagą powtarzanego rytuału – dlatego potrzebowały czegoś innego. Pytały więc sztuczną inteligencję o porady medyczne, plany kariery, sposoby na życie, a ich nastoletnie córki stawiały sobie wzajemnie tarota na imprezach. Były też rozmnażane w wiadomościach łańcuszki i pasty. Każdy czegoś potrzebuje.

Mąż odrzucił pomysł jako absurdalny, śmieszny. Jak ona w ogóle tworzy te swoje wróżby? Zbyt emocjonalnie do tego podchodzisz. w ból Lili na dobrą sprawę też nie wierzył. Miała zagryźć zęby i wytrzymać. w gruncie rzeczy było to bardzo katolickie. Nie chciałam przekazywać jej myśli, że ma tylko wytrzymywać i znosić ból, ale wylewały się ze mnie słowa męża, wcześniej słyszane też od matki i babci. Kotłujące się w środku zdania. Wszystko ma jakiś cel. Bóg ma plan. Nie chciałam przekazywać ich dalej; mogłyby umrzeć wraz ze mną. Ale nie mogłam znaleźć w sobie nic na zastępstwo. Wszystko będzie dobrze. Klepięcie po łopatkach. Jałowe słowa.



Dotarła do mnie nieadekwatność jakichkolwiek deklaracji. Więc w końcu ustąpiłam i zabrałam moje dziecko do tej starej, drewnianej, lekko stęchłej chaty. Powietrze było opresyjnie nieruchome, duszne. Opisy padające z ust mojej matki, a wcześniej ciotek i babć, były od zawsze identyczne. Zawieszona w czasie i wspólnej wyobraźni baba pozostawała niezmienna. Nie pasowała do szybkiego, nerwowego życia; nigdy nie miałam oporów, by zostawić ją za plecami, poza miastem. Wiedziałam, że i tak zaczeka. a teraz stałam przed nią i powierzałam jej zdrowie mojej córki. Przypominała mi moją matkę; obie wywoływały podobne uczucia. Dziwna mieszanka politowania, wstydu i strachu. Była ucieleśnieniem wszystkiego, czego próbowałam uniknąć kosztem czasu i pieniędzy. My zaś byliśmy dla niej tylko chwilowym mignięciem w niezmiennej od lat rutynie.

Spojrzałam jej w oczy. Drwiące. Jakby wszystko słyszała.

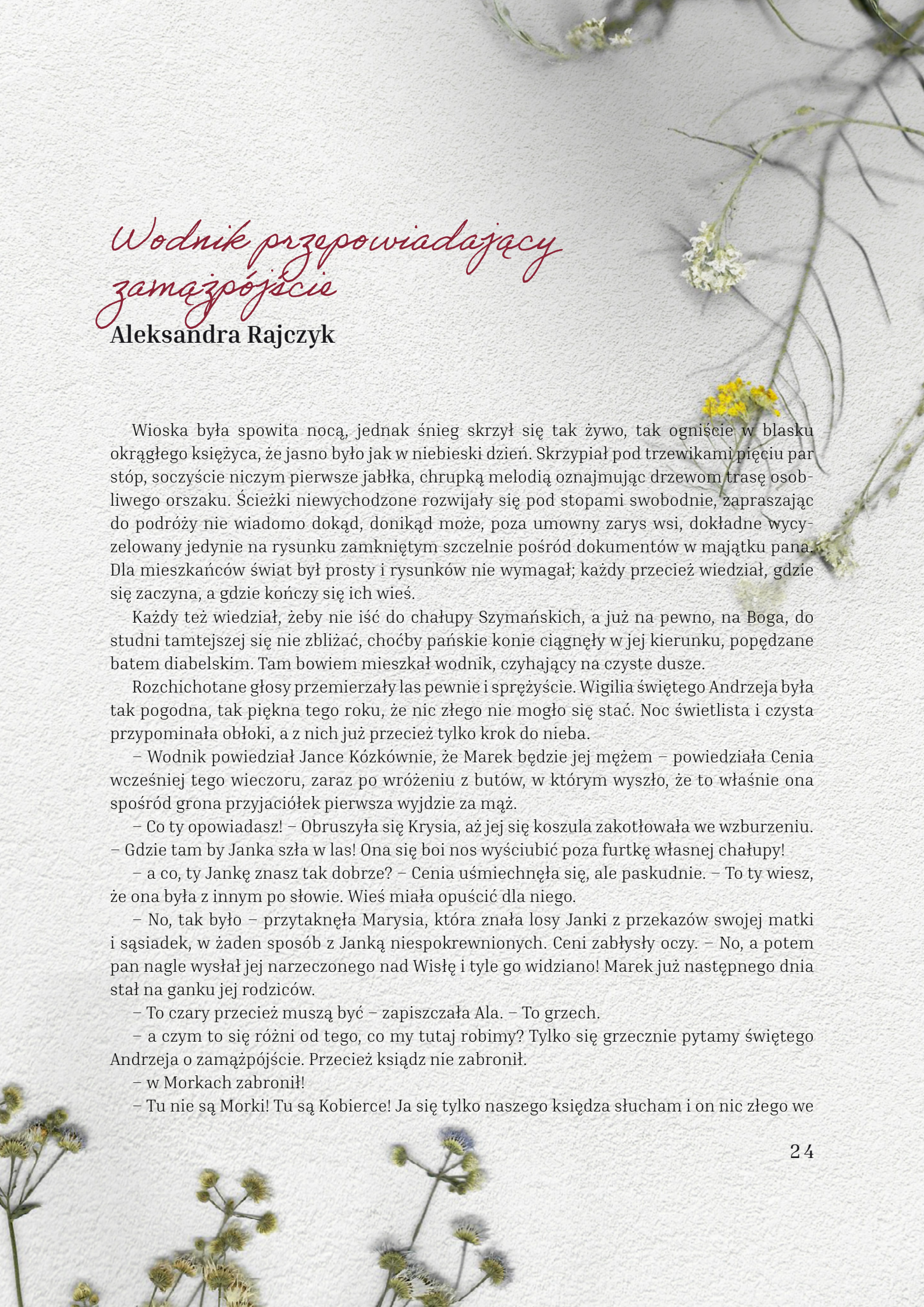
– Nie ma się czego bać – powiedziała i poklepała mnie po dłoni. Wzdrygnęłam się. Mimo że przyszłam do niej z córką, jej uwaga od razu skupiła się na mnie, jakbym to ja potrzebowała uleczenia.

Patrzy mi głęboko w oczy. Boję się poprzecinanych żyłakami i reumatyzmem dłoni, przeszywających duszę oczu. Patrzę w nie, ale ich nie dostrzegam, bo gdy tylko stara zaczyna mówić, wsłuchuję się w dźwięk jej głosu i w transie przestaję widzieć cokolwiek innego.

Zmiany dobiegną końca i staniesz na chwiejnych nogach, jak wmurowana w ziemię. a to, co umocnione powtarzalnością, przestanie tylko wyglądać i zacznie być prawdziwe. a poza tym spełni się dokładnie to, o czym teraz myślisz. Ulga w cierpieniu? Drgnąłś. Tak, każdy czegoś potrzebuje.



Emma Panasiuk (ur. 2004) – ur.2004, do niedawna studentka anglistyki i ekonomii na UW. Publikowała teksty m.in. w „Tlenie Literackim” i „Second Thoughts”. Mieszka w Warszawie.



Wodnik przepowiadający zamażpójście

Aleksandra Rajczyk

Wioska była spowita nocą, jednak śnieg skrzył się tak żywo, tak ogniście w blasku okrągłego księżyca, że jasno było jak w niebieski dzień. Skrzypiał pod trzewikami pięciu par stóp, soczyscie niczym pierwsze jabłka, chrupką melodią oznajmując drzewom trasę osobliwego orszaku. Ścieżki niewychodzone rozwijały się pod stopami swobodnie, zapraszając do podróży nie wiadomo dokąd, donikąd może, poza umowny zarys wsi, dokładne wyczelowany jedynie na rysunku zamkniętym szczelnie pośród dokumentów w majątku pana. Dla mieszkańców świat był prosty i rysunków nie wymagał; każdy przecież wiedział, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy się ich wieś.

Każdy też wiedział, żeby nie iść do chałupy Szymańskich, a już na pewno, na Boga, do studni tamtejszej się nie zbliżać, choćby pańskie konie ciągnęły w jej kierunku, popędzane batem diabelskim. Tam bowiem mieszkał wodnik, czyhający na czyste dusze.

Rozchichotane głosy przemierzały las pewnie i sprężyscie. Wigilia świętego Andrzeja była tak pogodna, tak piękna tego roku, że nic złego nie mogło się stać. Noc świetlista i czysta przypominała obłoki, a z nich już przecież tylko krok do nieba.

– Wodnik powiedział Jance Kózkównie, że Marek będzie jej mężem – powiedziała Cenia wcześniej tego wieczoru, zaraz po wróceniu z butów, w którym wyszło, że to właśnie ona spośród grona przyjaciółek pierwsza wyjdzie za mąż.

– Co ty opowiadasz! – Obruszyła się Krysia, aż jej się koszula zakotłowała we wzburzeniu. – Gdzie tam by Janka szła w las! Ona się boi nos wyściubić poza furtkę własnej chałupy!

– a co, ty Jankę znasz tak dobrze? – Cenia uśmiechnęła się, ale paskudnie. – To ty wiesz, że ona była z innym po słowie. Wieś miała opuścić dla niego.

– No, tak było – przytaknęła Marysia, która знаła losy Janki z przekazów swojej matki i sąsiadek, w żaden sposób z Janką niespokrewnionych. Ceni zabłysły oczy. – No, a potem pan nagle wysłał jej narzeczonego nad Wisłę i tyle go widziano! Marek już następnego dnia stał na ganku jej rodziców.

– To czary przecież muszą być – zapiszczała Ala. – To grzech.

– a czym to się różni od tego, co my tutaj robimy? Tylko się grzecznie pytamy świętego Andrzeja o zamażpójście. Przecież ksiądz nie zabronił.

– w Morkach zabronił!

– Tu nie są Morki! Tu są Kobierce! Ja się tylko naszego księdza słucham i on nic złego we

wróźbach nie widzi.

- Święty Andrzej to co innego niż wodnik! Ksiądz by nie chciał, żebyśmy się z nim bratały!
- a skąd to wiesz? Jance ślubu udzielił normalnie, a z wodnikiem gadała.
- To jest grzech czy nie, Bronka?
- Nie no, chyba nie – powiedziała Bronka, tarmosząc nerwowo chustkę. – Jak ksiądz nie zabronił, to nie.

Krowa ziewnęła i zakręciła ogonem, niby dorzucając swoje trzy grosze do rozmowy. w stodołę było ciepło, parno od oddechów dziewcząt i zwierząt, na przekór siarczystemu mrozowi panującemu na zewnątrz. w powietrzu unosił się cierpki aromat domowego wina, które Cenia dostała od starego nosiwody w zamian za to, że uniosła bluzkę na kilka chwil. Rodzice Ali pozwolili dziewczynom na wróżby, byle nie w domu, bo – według jej ojca – jak są w piątkę, to pieją jak koguty o brzasku. Zmęczone pracą chłopcy nie mogli zdzierżyć radości dziewcząt odnajdujących przyjemności koleżeństwa.

Tego roku wróżby były poważniejsze niż dotychczas. Dziewczyny znajdowały się już w odpowiednim wieku do zamążpójścia. Taki nastrój narzuciła Krysia, której każda wróżba miała służyć jako potwierdzenie, że jej wybrankiem będzie Bartek Wilkowicz. Żaden inny jej nie interesował. Strzelała za nim oczami od wiosny, czasami nie słysząc nawet, co kto do niej mówi. Marysia często towarzyszyła jej w dziwnych wyprawach, których celem było jedynie złapanie spojrzenia Bartka. Jeśli Bóg zdecydował, że ich oczy tego dnia się nie spotkały, Krysia nie krzywiła się długo, bo sam widok chłopca wystarczył jej za strawę; więcej to dla niej znaczyło niż opłatek w niedzielę.

I pewnie to ona zawtórowała Ceni i namówiła pozostałe na odwiedzinę wodnika, jednak po wszystkim trudno było ustalić, kto i w jaki sposób pociągnął resztę za sobą.

Krysia i Marysia zamykały pochód, trzymając się za ręce. Od dziecka były zżyte. Przed nimi Bronka milcząco parła naprzód, zleknioma ciemnym lasem. Ciągłe międlila w palcach swój różaniec – najcenniejszą i najmilszą sercu rzecz, jaką posiadała. Cenia szła na czele z lampą w ręku, a tuż za nią człapała Ala, która za nic w świecie nie chciała iść ostatnia w korowodzie.

– Wodnik może was porwać na synowe – marudziła gorzko. – Ja nie będę wam kwiatków sypać na takiej ceremonii.

– Jak się nie zamkniesz, to ci luftnę zaraz – syknęła Cenia. – Mogłaś zostać we wsi, skoro nic ci się nie podoba.

- Idę z wami, żeby się modlić za wasze dusze, jak je wodnik złapie!
- Ty to za mąż nie pójdziesz... Ty mniszką będziesz, jak Bronka.
- Może to dobry pomysł! Boga nie można tak obrażać! Bronia, zarócimy razem?

Obietnica przygody gęstniała z każdym krokiem. Dziewczęta nie przyznawały się; głupio się było przyznać na głos, nie, nie. Serce wcale nie wali tak mocno, jakby to był jego pierwszy dzień na ziemi. Krew nie wrze. Ta czerwień policzków to efekt wypitego wina. Noc listopadowa była ciepła, pomimo tego, że śnieg przykrył cienką warstwą wszystko po horyzont.



Niemal nieprzytomne z podniecenia, wyrwane z kajdanów nudy, nie śmiały powiedzieć na głos, nawet zamknięte we własnym gronie, że to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką w życiu zrobili. Jakby przyznanie się miało oznaczać rzucenie klątwy. Musiały być dobrymi dziewczynami.

– Już tak daleko zaszliśmy... – Bronka uśmiechała się niepewnie, ale jej oczy, zazwyczaj łagodne jak u gołąbka, płonęły. Szukała nimi sprzymierzeńca. Marysia zawsze czuła, że musi się nią opiekować. – Chodź, Ala – powiedziała i zrobiła krok, żeby ponownie wprawić pochod w ruch. – Za chwilę będziemy na miejscu, a potem szybko wrócimy. Nie potrwa to długo.

– No, bez sensu się teraz wycofywać – zawtórowała Krysia. – Jak postanowiłyśmy, tak zrobimy.

Ala się obraziła, co jednak nie przeszkodziło jej we wspólnym maszerowaniu do celu.

Po drodze musiały minąć miejsce, które napawało Marysię większym strachem niż chałupa Szymańskich i wszystkie wodniki świata razem wzięte. Część wsi najbardziej oddalona na wschód nie miała wielu zabudowań. w środku lasu znajdowała się jednak chałupa, której od dawna nikt nie zamieszkiwał. Opuszczona zagroda wydawała się najciemniejszym miejscem pośród nocy. Ostatnią rodziną gospodarzącą tutaj byli Różyccy. Pan przeniósł ich do innej wsi i od tamtej pory nie mógł znaleźć chłopów, którzy mogliby się tu osiedlić.

Marysia raz jeden przysłała tu z matką, już po wyprowadzce Różyckich. Wspominała to jak zły sen. Cisza, bezruch, mętne obrazy. Drżała na całym ciele, a najmocniej się trzęsła, kiedy stanęła po lewej stronie od wejścia, w samym kącie. Kołatało ją zimno, a coś ciągnęło w dół za kostki. Zbladła cała i wybiegła, żeby zwymiotować pod płotem. Matka nie rozumiała, co się stało, a Marysia nie miała słów, żeby jej wytłumaczyć, jakie okropieństwo tam siedzi, w kącie, niewidoczne. Złe. Matka mówiła, że Różycka nie mogła urodzić dziecka, stąd pewnie zagnieździło się coś niedobrego. Nigdy nikomu o tym nie powiedziały.

Marysia nie mogła nawet spojrzeć w kierunku zagrody. Odwróciła głowę i obserwowała bezpieczną biel lasu. w głębi ducha liczyła, że któraś z koleżanek zwróci uwagę na to miejsce i powie, że coś jest z nim nie tak. Przecież nie mogła być jedyną osobą, która poczuła ciarki na plecach, kiedy mijały bezludzkie domostwo.

Marysia od dziecka czuła, że nie wolno zaglądać przez okna do wnętrz pustych, ciemnych domów, dlaczego więc ten kusił ją w przedziwny sposób? Tylko ją, jedną jedyną z pięciu?

Żadna z jej towarzyszek nie zaprzętała sobie głowy zagrodą; zajęte były trajkotaniem o kawalerach z sąsiedniej wioski.

Dotarły wreszcie do chałupy Szymańskich. Po pożarze wywołanym przez uderzenie pioruna, a następnie stopniowe rozkradanie dobytku przez miejscowych, z okazałego domu zostały tylko fundamenty.

Dziewczyny zebrały się wokół studni bez słowa. Cenia pochyliła się.

– Nie! – Ala krzyknęła i odciągnęła ją od krawędzi studni. – Jezus Maryja, chodźmy stąd! Nie róbmy tego, błagam!

– Po co lazaś z nami, jak teraz tchórzysz!



Zanim kłótnia rozpętała się na dobre, Krysia ostrożnie podeszła do studni. Oddechy pięciu osób zatrzymały się jednocześnie, gdy zajrzała do środka, gdzie ciemność różniła się od tej nad ich głowami, bo miała inne źródło. Nie słysząc żadnego ptactwa, pomyślała Marysia, spoglądając na zamrożone drzewa.

– Widzisz wodnika? – Cenia zbliżyła lampę do Krysi. Błada twarz dziewczyny, pokąsana zimnem i zarumieniona przygodą, która miała pozostać ich tajemnicą, rozkwitała krwistoczerwonymi rumieńcami. Żywotność pięciu dusz parowała w lodowatej jaskrawości nocy.

– Nie. Tylko kupkę śniegu na dnie.

– Zapytaj o coś!

– Wszystkie wiemy, o co...

Krysia zniżyła głowę. Marysia złapała ją za rękę w obawie, że wodnik wciągnie jej przyjaciółkę do środka. Bronka musiała wyczuć jej strach i też chwyciła Krysię za dłoń. Cenia trzymała lampę tak wysoko, że ich chustki zaczęły wyglądać jak aureole. Ala stała blisko światła, zaciskając zęby.

– Czy Bartek Wilkowicz będzie moim mężem?

Cisza.

– Powinnaś się przedstawić – zaordynowała Cenia półszeptem. – Skąd ma wiedzieć, kto pyta?

– Ja, Krystyna Kalinówna, chciałabym wiedzieć, czy Bartosz Wilkowicz się ze mną ożeni. Brak odpowiedzi.

Cenia oświetliła lampą wnętrze studni i rozejrzała się uważnie. To dodało reszcie dziewcząt odwagi. Głowa przy głowie gapiły się na zamrożone wnętrze.

Wtedy Cenia beknęła soczyscie, a echo studni potroiło dźwięk.

Śmiech, jaki się rozszedł po lesie, obudziłby umarłego. Ala stała zgięta w pół, dysząc niemalże. Bronka ocierała z twarzy wesołe łezki. Krysia i Marysia trzymały się siebie w dziwnym pół-uścisku, pół-chwycie.

– Teraz to już na pewno nie odpowie...

– a jak się obrazi?

– Gdzież tam... Na pewno lubi kawały...

Ta chwila bliskości złączyła je na wieczność. Marysia poczuła, że gwiazda najjaśniejsza świecąca nad ich głowami zachęca do zapamiętania tej chwili. Za rok o tej porze nie będą już wróżyć, bo większość z nich zostanie mężatkami. Mężowe dopilnują, żeby nie wymykały się po nocy z koleżankami na dalekie krańce wsi. Zresztą nie musieliby, bo dziewczęta dobrze wiedziały, że co wolno pannie, mężatce nie wypada. Ten śmiech, siostrzeństwo pachnące mrozem i słodkim potem, sekretność słów i czynów, przygoda wydeptana ich stopami – to już się nie powtórzy.

Ten przeblysłk nie miał w sobie nic z goryczy, tylko wdzięczność.

– Co to było? – Ala obejrzała się za siebie, na nowo złękniona.

Cenia, wciąż wyraźnie zadowolona ze swojego żartu, stwierdziła:

– Jelenie... Zaraz sobie pójda.

Dźwięk kopyt zbliżał się do nich miarowo, a z nim stłumione, męskie głosy. Musiały odruchowo skulić się w stadko, bo gdy czterej jeźdźcy opuścili las, stały tak blisko siebie, jakby starały się stworzyć jednolitą masę.

– To syn pana, tam z boku – szepnęła Cenia. – Ten w środku też panicz.

Gorączkowo zastanawiały się, czy zrobiły coś zakazanego. Ich emocje krążyły w zbitce ciał jak rój pszczoł spłoszonych ogniem. Pan lubił porządek, a wałęsanie się młodych chłopków po nocy mogło być sygnałem, że coś we wsi jest nie na swoim miejscu.

– Co tu robicie? – Pytanie mężczyzny przypominało warknięcie.

Cenia wzięła na siebie jego gniew i przedstawiła całą grupę, zapewniając, że nic złego, że nie mają złych zamiarów, ot, zabawa, bo dzisiaj świętego Andrzeja. Głos jej drżał do rytmu trzęsących się kolan dziewcząt.

Przybysze zeskoczyli z wierzchowców. Syn pana, Stanisław, najwyraźniej sprowadził swoich kolegów z okolicznych majątków. Byli pijani.

– To wy chłopów szukacie, tak? – Zaśmiał się. Marysia zauważyła, że pozostali trzech mruczeli coś do siebie, zerkając raz na nie, raz na ziemię. – Proszę, jak baby potrafią się same poza wioskę wybrać, jeśli znajdą dobry powód...

– Już wracamy – rzuciła szybko Ala. – Miałyśmy właśnie iść! Nie chcemy robić kłopotów. Bardzo pana przepraszamy, już nas nie ma!

– Spokojnie, moje miłe. – Stanisław się uśmiechnął. – Przecież ma być zabawa, tak? Co się wam tak spieszy? Dopiero przyjechaliśmy.

– Urodziwe jesteście – burknął jeden z jego towarzyszy.

Zagryzły zęby; czuły, że każde następne wypowiedziane słowo może wpędzić je w jeszcze większe tarapaty. Wysoki wąsacz bez czapki szepnął coś Stanisławowi na ucho. Ten spojrzał na Bronkę.

– Lepiej będzie, jak rzeczywiście sobie pójdziecie. Matki się pewnie zamartwiają.

Odetchnęły z ulgą, jak jeden organizm, by po chwili struchleć.

– Bronia się z nami napije i my ją odstawimy, pod samą chałupę. No, idźcie.

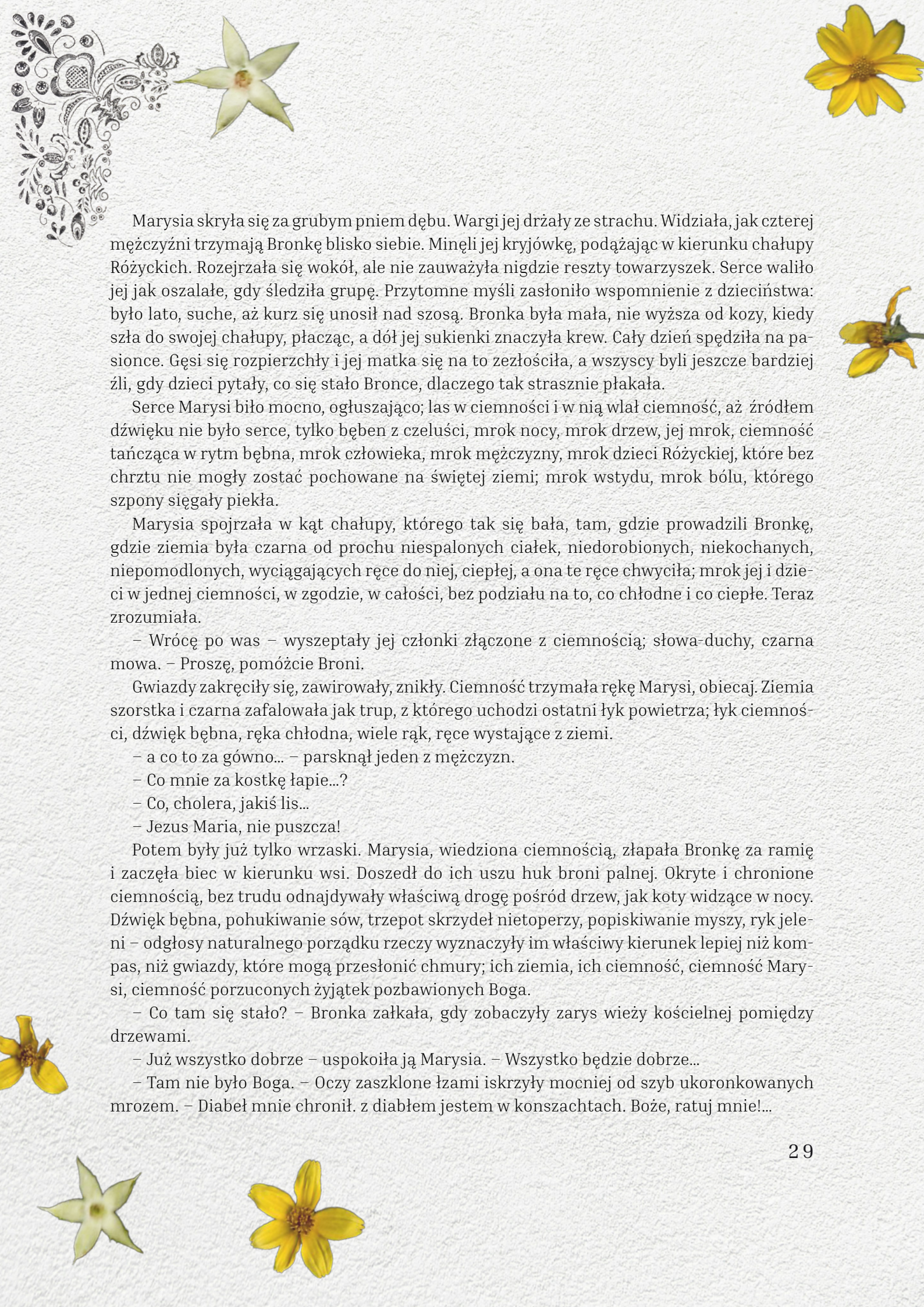
Marysia spojrzała na Bronkę, której twarz była zupełnie bez wyrazu, jak u kościelnej rzeźby, chłodna jak las dookoła.

– Pan jest za dobry dla nas, taki uczynny – gorączkowo plotła Cenia. – My nie chcemy robić kłopotu, naprawdę, pójdziemy sobie...

– Powiedziałem, że wy macie iść. a ty, Bronka, zostań. Niedługo do zakonu idziesz, musimy ci wyprawić porządne pożegnanie, co nie? No, chodź do nas.

Nie ruszyły się do czasu, aż ich jedność rozbił krzyk z pięciu gardeł – odpowiedź na wystrzał z pistoletu.

– Spierdalać! – Nie wiedziały, który z mężczyzn wrzasnął, zbyt zajęte ucieczką. Rozproszyły się w ciemności; ich bieg nie miał rytmu.



Marysia skryła się za grubym pniem dębu. Wargi jej drżały ze strachu. Widziała, jak czterej mężczyźni trzymają Bronkę blisko siebie. Minęli jej kryjówkę, podążając w kierunku chałupy Różyckich. Rozejrzała się wokół, ale nie zauważyła nigdzie reszty towarzyszek. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy śledziła grupę. Przytomne myśli zasłoniło wspomnienie z dzieciństwa: było lato, suche, aż kurz się unosił nad szosą. Bronka była mała, nie wyższa od kozy, kiedy szła do swojej chałupy, płacząc, a dół jej sukienki znaczyła krew. Cały dzień spędziła na pasionce. Gęsi się rozpierzchnęły i jej matka się na to zezłościła, a wszyscy byli jeszcze bardziej źli, gdy dzieci pytały, co się stało Bronce, dlaczego tak strasznie płakała.

Serce Marysi biło mocno, ogłuszająco; las w ciemności i w nią wlał ciemność, aż źródłem dźwięku nie było serce, tylko bęben z czeluści, mrok nocy, mrok drzew, jej mrok, ciemność tańcząca w rytm bębna, mrok człowieka, mrok mężczyzny, mrok dzieci Różyckiej, które bez chrztu nie mogły zostać pochowane na świętej ziemi; mrok wstydu, mrok bólu, którego szpony sięgały piekła.

Marysia spojrzała w kąt chałupy, którego tak się bała, tam, gdzie prowadzili Bronkę, gdzie ziemia była czarna od prochu niespalonych ciałek, niedorobionych, niekochanych, niepomodlonych, wyciągających ręce do niej, cieplej, a ona te ręce chwyciła; mrok jej i dzieci w jednej ciemności, w zgodzie, w całości, bez podziału na to, co chłodne i co ciepłe. Teraz zrozumiała.

– Wróć po was – wyszeptały jej członki złączone z ciemnością; słowa-duchy, czarna mowa. – Proszę, pomóżcie Broni.

Gwiazdy zakreśliły się, zawirowały, znikły. Ciemność trzymała rękę Marysi, obiecaj. Ziemia szorstka i czarna zafalowała jak trup, z którego uchodzi ostatni łyk powietrza; łyk ciemności, dźwięk bębna, ręka chłodna, wiele rąk, ręce wystające z ziemi.

– a co to za gówn... – parsknął jeden z mężczyzn.

– Co mnie za kostkę łapie...?

– Co, cholera, jakiś lis...

– Jezus Maria, nie puszcza!

Potem były już tylko wrzaski. Marysia, wiedziona ciemnością, złapała Bronkę za ramię i zaczęła biec w kierunku wsi. Doszedł do ich uszu huk broni palnej. Okryte i chronione ciemnością, bez trudu odnajdywały właściwą drogę pośród drzew, jak koty widzące w nocy. Dźwięk bębna, pohukiwanie sów, trzepot skrzydeł nietoperzy, popiskiwanie myszy, ryk jeleni – odgłosy naturalnego porządku rzeczy wyznaczyły im właściwy kierunek lepiej niż kompas, niż gwiazdy, które mogą przesłonić chmury; ich ziemia, ich ciemność, ciemność Marysi, ciemność porzuconych żyłatek pozbawionych Boga.

– Co tam się stało? – Bronka załkała, gdy zobaczyły zarys wieży kościelnej pomiędzy drzewami.

– Już wszystko dobrze – uspokoiła ją Marysia. – Wszystko będzie dobrze...

– Tam nie było Boga. – Oczy zaszkłone łzami iskrzyły mocniej od szyb ukoronkowanych mrozem. – Diabeł mnie chronił. z diabłem jestem w konszachtach. Boże, ratuj mnie!...

– Bronka, nie, nie diabeł!

Skąd we mnie ta pewność? Myśli Marysi odzyskiwały jasność, im dalej znajdowała się od chałupy Rózyckich. Od miejsca pochówku niedonoszonych cięż. Prawda utknęła jej w gardle. – Bronka, będziemy musiały poświęcić tamtą ziemię.

– Co? Co ty mówisz?

– Każdy zasługuje na pochówek po Bożemu, zgadzasz się? Jak ci powiem, że musisz ulżyć duszom błakającym się po świecie bez grobu, uznasz to za uczynek chrześcijański, prawda? Bronka przytaknęła. Zawarły pakt i bez pożegnania rozeszły się do swoich domostw.

We wsi potem gadali, że syn pana tak się spił ze swoimi kolegami, że się pokłócili, pobili, a potem wyzwali na pojedynek. Od kuli pistoletu zginął Mścisław, syn ziemianina z drugiej strony Wisły. Stanisław wyjechał studiować. Służki szeptały, że pan go wyrzucił i przeklął aż po kres jego dni. Opowieść miała wiele wariantów, a co i rusz ktoś dorzucał element z zasłyszanych plotek.

Bronka nie doczekała wesela żadnej ze swoich koleżanek. Zaraz po Matki Boskiej Gromnicznej wyjechała, żeby wstąpić do zakonu bernardynek. Swoją różaniec zostawiła w Kobiernicach, pochowany pod chałupą w lesie, którą niegdyś zamieszkiwali Rózyccy.



Planeta X

Kalina Rukat

Mikołaj miał 10 lat, kiedy zaczął śnić o tajemniczej planecie. Zbiegło się to w czasie z uprowadzeniem jego ukochanego jamnika Merlina spod sklepu spożywczego. Mimo usilnych poszukiwań, piesek wyparował z powierzchni ziemi. W snach Mikołaja jamniczek wielokrotnie owijał swoje długie, brązowe ciało wokół brunatnej planety, a potem szczekał na chłopca. Mikołaj chciał lecieć za swoim przyjacielem, ale im bardziej próbował się zbliżyć, tym szybciej czerwona planeta wirowała, a Merlinek owijał się wokół niej coraz ciaśniej, oplatał jej powierzchnię jamniczym bluszczem. Mikołaj nigdy nie doczekał końca tego snu; każdej nocy, niezmiennie, rozpaczliwe szczekanie w końcu zlewało się z dźwiękiem budzika. Znowu trzeba było wstać do szkoły.

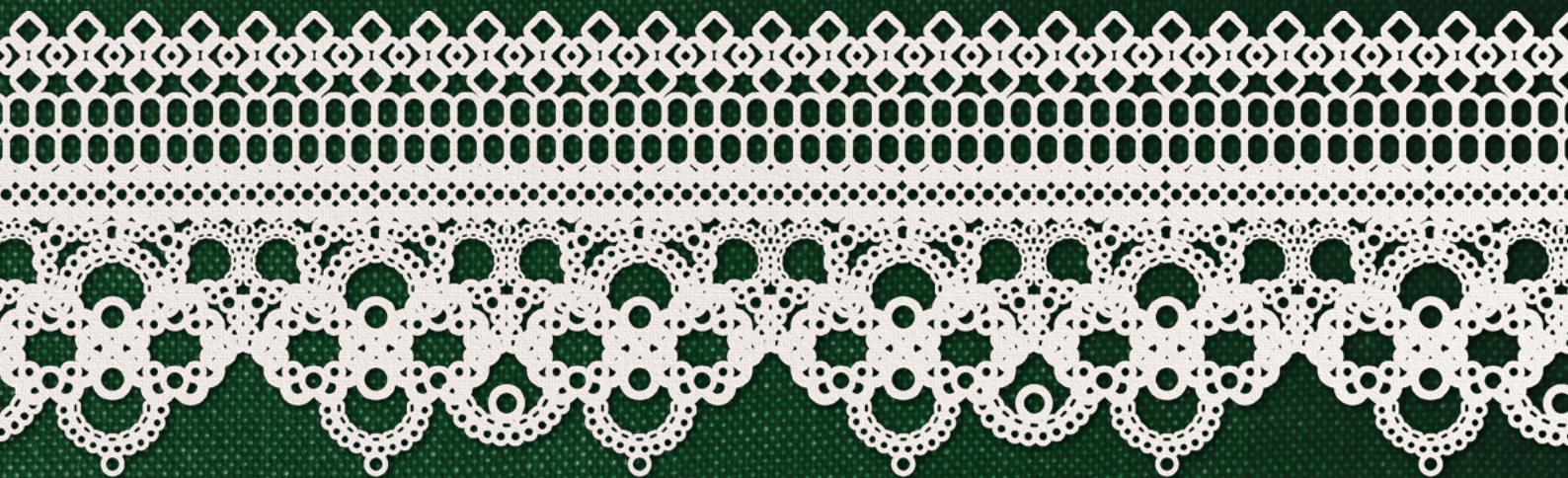
Kilka miesięcy wcześniej u ojca Mikołaja rozwinęła się obsesja na punkcie tajemniczej Planety X. Ten niedoszły astronom i niespełniony taksówkarz odnalazł swoje przeznaczenie w pogoni za pięknym odległym kosmicznym ciałem. Odkąd dowiedział się z nocnego programu telewizyjnego o istnieniu enigmatycznej Nibiru, postawił sobie za cel uświadomić jak najwięcej osób, że zawsze żyli w obrębie jej orbity. W czasie nocnych kursów po Warszawie opowiadał pasażerom, że piękna Nibiru ukryta za potężnym Jowiszem czeka na odpowiedni moment, by ponownie ujawnić Ziemianom swój czar. Ponownie, bo przecież kiedyś już zrodziła Ziemię, i to my musimy zadbać o to, by znów zasłużyć na jej blask. Tak mówił ojciec Mikołaja; jedni słuchali go mniej, inni bardziej. Ci najbardziej uważni wracali z nim z do mieszkania, by słuchać dalej. Opowieści z nocnych kursów zaczęły zajmować wieczory, a w końcu i całe dni. Taksówkarz obrósł warstwą kilkunastu wiernych wyznawców. Mikołaj też słuchał. Wyobrażał sobie, że razem z Merlinem oglądają nocne niebo, na którym obok Księżycy lśni jego rdzawa siostra.

W pewnym momencie w marzenia o Planecie wkradło się pełne niepokoju oczekiwanie. Na spotkaniach domorosłych astronomów coraz częściej można było usłyszeć przyciszone głosy wspominające o kalendarzu Majów, o zderzeniu planet, o siłach grawitacyjnych, o przebiegunowaniu. Grono słuchaczy zacieśniło się niczym rój pszczół w przygotowaniu na nadchodzącą katastrofę. Koniunkcja planet miała przynieść koniec starego i nowy początek – dla tych, którzy na to zasługiwali. Jeśli ktoś miał przetrwać, byli to właśnie oni. Kalendarz Majów wyznaczył datę spotkania z przeznaczeniem, a ojciec Mikołaja ułożył jasny plan działania. Aby wyprzedzić tok zdarzeń, w wyznaczonym dniu jego wyznawcy mieli zetknąć

się z planetą w wymiarze astralnym. Niestety, Mikołaj był za mały, aby przyjąć wymaganą dawkę Tantum Rosa, umożliwiającą wstęp do świata duchowego bez uprzedniego przygotowania medytacyjnego. Całą noc krążył więc pośród ciał odurzonych dorosłych i wypatrywał przez okno pierwszego śladu Nibiru. Myślał o wszystkim, co zrobi, gdy wreszcie ujrzy na niebie czerwony blask. z zadumy wyrwał go pierwszy promień kolejnego dnia; dnia takiego samego, jak wszystkie te, które Mikołaj przeżył dotychczas.

Tajemnicza planeta przekazała swoim śniącym wyznawcom wiadomość: ludzkość nie jest jeszcze gotowa. Ojciec wskazywał kolejne daty, w których miało dojść do następnej koniunkcji planet, a stary świat miał ustąpić miejsca nowemu. Zawsze jednak kończyło się tak samo – czyli nie kończyło się wcale. Wszystko, nieznośnie, trwało dalej. Mikołaj przestał słuchać ojca. Zaczął zatracać się w innych historiach, takich, w których po początku i rozwinięciu przychodziło zakończenie, kulminacja. Koniec, nadający znaczenie całości. Tylko w snach wciąż nie mógł dogonić wirującej planety i oplecionego wokół niej Merlina. Coraz częściej miał wrażenie, że szykuje się na coś, co nigdy nie nastąpi, jakby trzymał w ręce bilety na odwołany seans.

Mikołaj miał 25 lat, kiedy Planeta X nawiedziła jego sny po raz ostatni. Tamtej nocy oglądał kolejny sezon ciągnącego się od lat serialu. Oślepiiony błękitnym światłem ekranu nie poczuł, że zasypia. Sen o Nibiru był taki sam jak zawsze. Mikołaj unosił się w przestrzeni kosmicznej, jamnik czekał, a planeta wirowała coraz szybciej. Chłopak jak zawsze wyciągał ręce, wołał swojego przyjaciela i z całych sił próbował go dogonić. Następnie pies i planeta zniknęli w błysku niebieskiego światła. Po przebudzeniu na ekranie laptopa wciąż odtwarzały się kolejne odcinki, z uporem męczące te same nieznośne wątki, które powinny skończyć się już dawno temu. Ile razy to samo słońce oświetli te same ścieżki? Ile razy można obudzić się z tego samego snu? Mikołaj zamknął laptop i wyjrzał za okno w poszukiwaniu brunatnej siostry Księżycy.



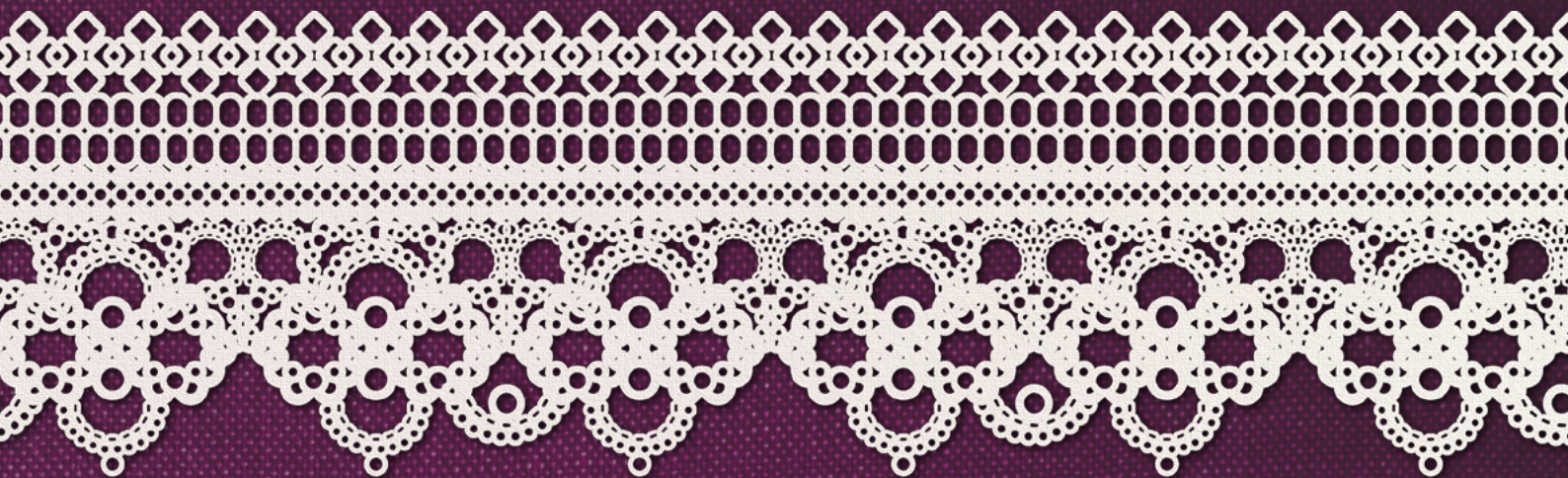
»OBRAZ«

Po prace autorów:

Antonina Wawrzyniak
Artsiom Pahadayeu
Florentyna Niedziółka
Julia Woźniak
Katarzyna Kuca
Larysa Jerynkicz
Laura Pierzchanowska
Magda Berek
Maro Wasilewski
Marta Życińska
Michał Krzyczkowski
Nina Pętlak
Oliwia Płochocka
Paula Bielawska

zapraszamy na stronę internetową magazynu:

magazynschody.pl



»DŹWIĘK«

Tamga (Album)

Patryk Jędrzejczyk/Tamga



By wysłuchać albumu, zeskanuj kod QR

»REDAKCJA«

Olga Sapiechowska

Ola Iwaszko

Julia Połynko

Marta Kleczyńska

Paula Walczyńska

Kacper Orzech

»KOREKTA«

Julia Hynowska

Marta Kleczyńska

»SKŁAD«

Dominika Cichocka

Gabriela Dąbrowska

»OPRAWA GRAFICZNA«

Anna Fidos - projekt okładki

Gabriela Dąbrowska - koncept graficzny

Marta Kleczyńska - grafiki

zdjęcie na okładce: Autor poszukiwany, występ dziecięcego zespołu artystycznego, Dolny
Śląsk, ok. lata 60.-70. XX w., fotografia, archiwum nieznane